

Krzysztof Łoziński



**Misiowe pieszczołki
1989**

Krzysztof Łoziński

Misiowe pieszcotki. Tekst o misiach ze "Wspinka" jesień 1989



Niedźwiedzica Magda z dziećmi
Fot. Krzysztof Łoziński

Pierwsze przeboje z niedźwiedziami zaczęły się w rejonie Morskiego Oka dwa lata temu. Wtedy po raz pierwszy niedźwiedź pojawił się na taborisku, ale ograniczył się do zdemolowania jednego namiotu i po oberwaniu hexą (czyli dużą kostką na pętli) w tylną część ciała odpuścił. Złożył jeszcze tylko wizytę w Roztoce, gdzie poranił konia.

W zeszłym roku zaczęto się na dobre. Misiaczki były już dwa - większy i mniejszy. W połowie lata trzeba było

zamknąć taborisko po zdemolowaniu przez niedźwiedzia pięciu namiotów. Przedtem próbowano płoszyć intruzów koncertami kocięj muzyki, pochodniami, raketami itp. No i wreszcie przyszło to, co przyjsć musiało, czyli misiowa plaga. Taborisko zamknięto już na początku sezonu, gdy wizyty mniejszego misia, który okazał się panią misiową z dwoma młodymi stały się codzienną plagą. Od czasu do czasu pojawia się także tata misio, który jest tak ogromny, że najdzielniejszych ogarnia zwątpienie. Gdy taboriskowe śmietniki przestały dostarczać misiom przysmaków zaczęły się ich rajdy po okolicy. Na pierwszy ogień poszła Roztoka. Elektryczny pastuch zainstalowany wokół schroniska nie był żadną przeszkodą. Misie szybko nauczyły się, gdzie są w nich przejścia dla ludzi i chodziły tylko tamtędy. W połowie lata schronisko wyglądało już jak po góralskim weselu. Poryglowane, popodpierane czym się da drzwi i okna, niektóre wyłamane po wizytach kudłaczy na zapleczu. Gdy misie nadchodzą, na parterze barykaduje się zdenerwowany personel rzucając petardy i wyjąc syreną, a z okien piętra paniusie wczasowiczki rzucają misiowi cukierki. Marek Pawłowski ocenia straty na 6 i 1/2 miliona.

Tymczasem misie włamują się do kuchni Wojtka Wajdy na Wancie niszcząc drzwi i zostawiając po sobie porządek jak po przejściu tajfunu lub SB. Nowym sportem stają się dla nich samochody. Na parkingu Palenica turyści zostawiają w samochodach żywność, którą misie starają się wyciągnąć przez szyby. Zwierzątka te, jak wiadomo, nie mają wielkiej precyzji ruchów, ale za to niezły przypak. Dlatego też czasem wyjmą szybę razem ze słupkiem, a czasem jakąś torbę razem z siedzeniem, gdy im się o pazurki zaczepi. Podobno padło już 12 samochodów, w tym jeden w Roztoce i jeden na Włosienicy. Dyrekcja Parku domagającym się odszkodowań właścicielom radzi zracać się do "Auto-

Casco". Gospodarzom schronisk dyrektorzy TPN radzą podłączać budynki pod prąd, a gdyby przyszli ludzie "to wylanczać".

Tymczasem misie robią postępy. Panikarskie wieści głoszą, że rozrabia już osiem niedźwiedzi, głównie w pobliżu podtatrzańskich wsi. We wrześniu niedźwiedź pobił się nad Białką z Rybakiem o ryby. Misio ugryzł górala w nogę, a góral dał mu w pysk, po czym misio spadł ze skarpy i przestraszywszy się raczej upadku niż górala uciekł. Przedtem jednak raz się przekotłowali. Ciężko poturbowany góral przebywa w szpitalu, a misio rozgląda się za następnym rybakiem, który słabiej bije. W całym rejonie rozwieszono są tablice informacyjne TPN: "Uwaga! W tym rejonie przebywa niedźwiedź, który zbliża się do ludzi". Dalej tablice zalecają przerażonym turystom, by w razie spotkania niedźwiedzia oddalić się z godnością. Słusznie, zawsze uważałem, że przemocy należy przeciwstawić godność osobistą. (Próbowałem już tego numeru z SB, ale nie działał.) "Pójdź dziecię między niedźwiedzie!" zdaje się mówić oferta turystyczna TPN szkolnym wycieczkom.

Tymczasem obłożony w swojej budce szef taboriska toczy co noc samotne walki z kudłaczami. Goni je pałą, kamieniami, gaśnicą, syreną. Pewnej nocy misie wywalają drzwi do budy zwanej "relaxem" oraz wdzierają się do "domku dyrektora". Następnego dnia szef taboriska, nieobecny przy włamaniu, naprawia straty. Drzwi do "relaxu" zostają zabite belką z taboriskowej ławki (pół świerkowego pnia). Następnej nocy przychodzi niedźwiedzica. Patrzy krytycznym wzrokiem na nową przeszkodę, po czym jednym uderzeniem łamie ją na pół. "Dyrektorowi" pozostaje zachować godność i na wszelki wypadek wyjechać.

Pod koniec września stare schronisko w Morskim Oku powoli pustoszeje. Zostaje tylko kilka osób. Na zewnątrz niedźwiedzie

wywracają kontenery ze śmieciami. Wiara robi im zdjęcia. Błyski flesza z odległości kilku metrów nie robią na nich żadnego wrażenia. Małe misie sporo podrosły. Na wiosnę będą już mogły rozwalić kontener bez pomocy mamy. Misie przenoszą się pod nowe schronisko. Słychać wycie syreny, strzały z rakiety. Potem trochę spokoju i zaczynają docierać odgłosy z Włosienicy, Wanty, Roztoki. Wyją syreny, wybuchają petardy, wopieci strzelają w górę z karabinów. (Mają rozkaz strzelać, gdyby misio ich zaatakował.) Dobrze, że nie ma Weron, bo posypałyby się mandaty za hałasowanie na terenie parku narodowego.

Ludzie stopniowo wyjeżdżają. W końcu zostajemy we czwórkę, a potem we dwójkę. Wieczorem atmosfera zaczyna być napięta. Nasłuchujemy każdego szmeru z zewnątrz. Marysia Łapińska przynosi nam klucz, abyśmy się zamknęli. "A i tak g... wam ten klucz pomoże" mówi wychodząc. W nocy nie gasimy światła. Nastrój jak na filmie "Szczęki". W nocy niedźwiedź włamuje się do kiosku przy nowym schronisku. Wechodzi drzwiami, a wychodzi oknem. Kiosk jest zdemolowany doszczętnie. Ślad po misiowych paznokciach wygląda jak pozostałość po czterech równoległych ciosach siekiery.

Trzeciego października spada 60 cm śniegu. Ulga - można wyjechać. Nietrudno przewidzieć czym to wszystko się skończy. Prędzej czy później niedźwiedź zabije człowieka. Pesymiści twierdzą, że będzie to dla dyrekcji parku pretekstem do zamknięcia całego rejonu dla taterników i turystów. Wielu ludzi na Podhału tak interpretuje beczyność Parku. Niektórzy mówią nawet: "Będą sobie wtedy mogli polować na jelenie nie bojąc się, że ktoś zobaczy".

Nie wiem, czy dyrektorzy parku rzeczywiście potajemnie polują na jelenie. Wiem natomiast, że znakomicie łączą oni



Działalność tych ludzi, wieloletnia polityka braku jakiegokolwiek koncepcji, działalność przypominająca ruchy Browna jest w sumie bardziej szkodliwa niż świadome szkodenie. Zamykanie schronisk, rozbieranie zabytkowych szałasów, wysadzenie trotylem szałasów na Pisanej, palenie na terenie parku owiec żywcem (oba ostatnie wyczyny dla celów filmu), łupienie mandatów za jazdę na nartach po sezonie i latanie na lotni nad rezerwatem, a jednocześnie wyręb lasu, nieograniczony dowóz autokarowej stonki i buńczuczne wypowiedzi, że jak nie będziemy cicho, to nas wcale w Tatry nie wpuszczą. A ja myślę, że trzeba postawić sprawę odwrotnie. To turyści i taternicy powinni w parku narodowym być, a obecna dyrekcja powinna odejść w ślad za niejakim Gierkiem Edwardem, od którego ekipy dostała posady i nauczyła się stylu rządzenia.

Krzysztof Łoziński

arogancję wobec turystów i mieszkańców rejonu Tatr z ignorancją w sprawach ochrony przyrody. Dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego to rezerwat partyjnej nomenklatury. To ludzie będący relikdami czasów, gdy główną zaletą karierowicza było unikanie decyzji. Ci ludzie nie dlatego nic nie robią, że mają jakiś przebiegły plan, lecz dlatego, że osiągnęli swój szczybel niekompetencji. Poza tym myślą oni kategoriami typowymi dla tępomózgiego betonu. Myślą, że park narodowy istnieje nie po to, by ludzie mogli poznawać Tatry, ich przyrodę w niezniszczonym stanie. Oni myślą, że park narodowy istnieje po to, żeby oni mogli być dyrektorami.



Zdjęcie pokazuje rozmiar łapy niedźwiedzia (z Internetu).

Parę słów uzupełnienia anno domini 2024

Artykuł napisałem w czasie, gdy kłopoty z niedźwiedziami w Tatrach dopiero się zaczynały. Niedźwiedzie nauczyły się żerować na śmietnikach, bo to łatwiejsze niż polować w lesie na jelenie.

Był jeszcze jeden słynny niedźwiedź, który nocował w szałasie w Strążyskiej. Grasował głównie pod Regłami, na Kalatówkach, Kondratowej. Przychodził do pracowników stacji pośredniej kolejki na Myślenickich Turniach. Był całkowicie oswojony. Ludzi karmili go kanapkami. Żle się to skończyło dla niedźwiedzia. Zastrzelił go, ze strachu, strażnik pakowy Marian Weron.

Żle się też skończyła przyjaźń z ludźmi dla niedźwiedzicy Magdy, która w kolejnych sezonach wręcz łąziła po taborisku przy Morskim Oku i nie bała się ludzi i nie zaczepiała ludzi. Została przez strażników TPN złapana i wywieziona do ZOO we Wrocławiu, gdzie zmarła ze stresu. Trudno się dziwić, że dzikie dorosłe zwierzę umieszczone w klatce musiało strasznie cierpieć. Ludzie zrobili jej to, bo się jej bali. W międzyczasie Magdę zważono. Podobno ważyła 600 kg.

O ile wiem, do dziś władze lokalne nie wyciągnęły z tego wniosków. Zamiast elektrycznych pastuchów, petard i syren, wystarczyło regularnie wywozić śmieci i pouczyć turystów, by nie zostawiali zżarcia w samochodach. Niedźwiedzie nie chcą nic nam zrobić. Po prostu chcą jeść.

Krzysztof Łoziński